

KILWORTH GARRY

w Krainie Wytatuowanych Ludzi

(In the Country of Tattooed Men)

Z "NF" 7/99

List przysłał mi do domu w Kalifornii wydawca moich albumów z fotografiami wojennymi. Autor listu proponował spotkanie w swoim mieszkaniu w Nowym Jorku, jako że obecnie nie był w stanie podróżować. Pisał, że dzieją się z nim dziwne rzeczy i twierdził, że powinienem zarejestrować zachodzące w nim "zmiany", gdyż może się to okazać ważne w przyszłości. Miałem nadzieję na dobry materiał na reportaż, oczywiście jeśli to wszystko było prawdą. Nie był to wszak pierwszy weteran z Wietnamu, któremu odbiła palma. Z początku skłaniałem się nawet do tego, aby zapomnieć o tym liście, ale jeśli Azja wywiera na człowieka jakikolwiek wpływ, to przede wszystkim nieustannie pobudzając jego ciekawość. W następną środę polecałem na wschodnie wybrzeże.

Zameldowałem się w hotelu "Roosevelt", gdyż ma on w sobie kolonialny wdzięk rodem ze Starego Świata, dzięki któremu taki wyspiarz-emigrant jak ja może choć przez chwilę poczuć się jak w domu, nawet pośród onieśmielającego ogromu nowojorskiej architektury. W Nowym Jorku czuję się wessany w wąskie gardła ulic wiodących mnie pośród gigantycznych gmachów, które gdzieś w górze wydają się stykać czubkami, zasłaniając całe niebo. Tu, pośród strzelistych drapaczy chmur, odczuwam swoją znikomość znacznie intensywniej niż wtedy, gdy wpatruję się w ogromne przestrzenie pomiędzy gwiazdami. Fakt, że na dachach tych betonowych wież rozpościerają się soczyste trawniki i rosną drzewa owocowe, nic tu nie pomaga - raczej potęguje wrażenie, że te przerażające budowle wyrosły spod ziemi zeszej nocy, wynosząc w górę wyrwane strzępy darni i resztki zieleni, pozostawiając nas, rachitycznych śmiertelników, w piekielnych głębiach wąwozów utworzonych z ich nieprzyjaznych, szarych ścian.

Wystrój nadaje wnętrzu hotelu europejski styl. Pełno tu stojących lamp z misternymi, mosiężnymi zdobieniami, komódek o marmurowych blatach. Obecność takich sprzętów sprawia, że czuję się pewniej. Znika towarzyszący mi wszędzie niepokój.

- Naprawdę zaopiekuję się pańskimi rzeczami - powtórzył mężczyzna, który przyszedł wziąć do prania moje brudy. Zatrzymał się w drzwiach czekając, aż dotrze do mnie aluzja ukryta w tych słowach i dam mu dwa dolary, by zapewnić bezpieczeństwo moim nieświeżym koszulom.

Kiedy drzwi się zamknęły, wziąłem do ręki leżący na łóżku egzemplarz "New York Timesa". Artykuł na pierwszej stronie mówił o zabójstwie dokonany na pewnym gwałtcielu w sercu Central Parku. Wyglądało na to, że to sprawa członka jakiejś obywatelskiej samoobrony. Chociaż śmierć herszta miała miejsce na oczach całego gangu, żaden z ujętych bandytów nie był do końca pewien, czego właściwie był świadkiem. Napadnięta kobieta również nie widziała mordercy, aczkolwiek nie ulegało wątpliwości, iż jest mu wdzięczna za interwencję. W tych zeznaniach nie byłoby nic zaskakującego, gdyby gwałtciel został ustrzelony ze sztucera o dużym zasięgu lub chociaż z pistoletu. Jednakże opryszka zwyczajnie uduszono. Przyjrząwszy się sinym plamom na szyi trupa, policyjny patolog orzekł, że zabójca użył nylonowego sznura lub pętli z drutu.

Pod obszernym artykułem znajdowała się krótka notka na temat oświadczenia nowo wybranego prezydenta, który wskazał na potrzebę wysłania doradców wojskowych do Azji w celu udzielenia pewnemu krajowi pomocy w wojnie z agresorem.

Tylko tu, na Zachodzie, historia jakiegoś nadgorliwego obrońcy ofiar napadów może okazać się ważniejsza od informacji o możliwości zaangażowania się Stanów Zjednoczonych w kolejną wojnę na kontynencie azjatyckim.

Pierwszy tatuaż zauważył pewnego ranka pod koniec lata. Poprzedniej nocy wybrał się do jednego ze swych ulubionych barów na oblewanie. Przez ostatnie lata nieustannie coś oblewał. Pierwszą okazją był jego powrót z Wietnamu, następnie śmierć Phila, potem własny rozwód, a później... później jakakolwiek wieść, dobra czy zła, stanowiła znakomity pretekst. Był w tym naprawdę dobry.

Symbol - gdyż był to raczej symbol niż jakiś obrazek czy słowo - znajdował się w dość niekonwencjonalnym miejscu. Przynajmniej jak na amerykańskie zwyczaje. Tuż pod lewą pachą. Jeśli był do czegoś podobny, to do jakiejś sanskryckiej litery. A może chińskiej? Albo japońskiej? Nie, raczej trudno byłoby go uznać za literę. To był po prostu symbol: zapętłony wir zakończony łamaną linią, która zachodziła na siebie kilkakrotnie, tworząc mały labirynt. Kiedy z uwagą przyglądał się znakowi w lustrze, dziwił się wielkiemu kunsztowi i precyzji, jaką włożono w jego wyrysowanie. Tatuaż był jak mały świat - taki sam świat, jaki otwiera się przed naszymi oczami, kiedy z bliska studiujemy kielich kwiatu lub gęsto unerwioną blaszkę liścia.

- O Jezu... skąd się to tutaj wzięło?! - zawołał, rozglądając się nerwowo po swoim kiepsko umeblowanym mieszkanku w nadziei, że znajdzie jakieś ślady, które pozwolą mu zgadnąć, co działo się z nim w nocy. Gdzie wczoraj był? Pamiętał bar "U Stacey'a", potem klub nocny na... jak się nazywała tamta ulica? Ale salon tatuażu? Kiedyś było ich pełno w chińskiej dzielnicy, ale potem gdzieś przeczytał, że wszystkie zamknięto. Nielatwo było się pozbyć tatuażu - operacja plastyczna kosztowała kupę forsy. Na szczęście, miał go w takim miejscu, że mógł być widoczny jedynie dla osób, które znajdują się z nim w sytuacji intymnej. Na szczęście nie był to żaden badziew w rodzaju precyzyjnej kopii ostatniej rozkładówki z "Playboya". Na szczęście, na szczęście, na szczęście... rąbnął pięścią w ścianę nad lustrem. Zza ściany usłyszał głośny protest sąsiada mieszkającego obok.

- Idź do diabła! - ryknął w odpowiedzi, wkładając stłuczone knykcie pod strumień zimnej wody.

Za oknem hałas, jaki robiły samochody przejeżdżające przez Brooklyn, narastał swym zwykłym porannym crescendo. Była prawie dziewiąta. Naciągnął spodnie na bokserki. Godzinę temu powinien być w pracy. Tylko tego by brakowało, żeby przez to wszystko stracił robotę.

Trzy dni później, po kolejnej pijatyce, pojawił się drugi tatuaż. Tym razem na łokciu. Zadzwoił do swojej byłej żony i porozmawiał z nią przez chwilę. Nie powiedział jej nic o dziwnych rysunkach, ale sam jej głos dodał mu otuchy. Potem zadzwonił do syna, żeby pogadać o futbolu i o wakacjach. Jamie był pełen życia. Powiedział ojcu, że tęskni za nim bardzo i że powinni wkrótce spotkać się całą trójką, kiedy skończy się semestr. Jamie miał romantyczną duszę. Wciąż próbował swatać swoich rodziców, mając nadzieję, że zejdą się ponownie, a nawet że powtórnie wezmą ślub. Kiedy odłożył słuchawkę, czuł się znacznie lepiej. Przysiągł sobie, że przez tydzień nie weźmie alkoholu do ust.

Dwadzieścia cztery godziny później zauważył na ciele trzeci symbol.

- Lunatykuję - powiedział do siebie. - Albo wpadam w jakiś trans. Albo jakiś gnojek uwziął się na mnie.

Przeszukał mieszkanie, jakby spodziewał się, że znajdzie kogoś ukrywającego się w szafie albo pod łóżkiem. Spojrzał w oczy swojemu odbiciu w lustrze i ujrzał w nich strach. Dotknął poblądłego policzka i zauważył, że drży mu ręka.

- Jakiś gnojek nachodzi mnie we własnym mieszkaniu.

Bardziej nie bały się nawet wtedy, gdyby tatuaże zamiast kolorowymi symbolami, okazały się naturalnymi wypryskami na skórze, wskazującymi na obecność jakiejś śmiertelnej choroby w jego ciele.

Jego przerażenie osiągnęło największe możliwe natężenie, podobnie jak w Wietnamie. W rzeczywistości, pomyślał, to jest dokładnie ten sam strach. Rozpoznawał go w ten sam sposób, w jaki inni ludzie rozpoznawali zapach i smak jakiejś niezwyklej przyprawy. Istniało wiele różnych rodzajów lęku, ale ten zdecydowanie można było utożsamić z zatrwożeniem, ogarniającym człowieka zagubionego w dżungli, gdzie zewsząd czyha nań śmierć. Miało to chyba jakiś związek z tym, że w tatużach było coś azjatyckiego. Ich styl przypominał orientalne wzornictwo. Nagle noc wydała się jeszcze bardziej przerażająca niż wcześniej. Pod osłoną mroku coś przychodziło do niego. Z powrotem znalazł się w Wietnamie, znów wpatrywał się w posępną ścianę dżungli, będąc jednocześnie wewnątrz tej ściany, błędząc pośród olbrzymich drzew, na których korzenie musiał się wspinać jak na wysokie wzgórza. Był nicnieznaczającym śmiertelnikiem w miejscu, gdzie próżno oczekiwać jakiegoś zrozumienia. Umysł wybiegał przed ciało bądź włókł się za nim w tyle. Znów tropił wzrokiem cienie, łykając trwogę szybciej niż alkohol. Dżungla przypelzła tu za nim, na ulice Nowego Jorku. Jacyś malutcy ludzie, których nigdy wcześniej nie widział, czaili się w wąskich alejkach. Był zbyt przerażony, żeby pić. Zbyt przerażony, żeby nie pić. Nieokleźnana panika kazała mu zrywać się z łóżka w środku nocy i snuć się po barach, by szukać tam tego, co pomagało mu pozbyć się strachu, jednocześnie go potęgując. Wpadł w pułapkę, przez którą z wolna znów stawał się tym szaleńcem, za jakiego kiedyś się uważał. - Co się, kurwa, dzieje? - ryczał, stojąc na chodniku przy barze, z twarzą oblaną neonowym światłem. - Niech mi ktoś wytłumaczy, co się, kurwa, dzieje...

Ale przechodnie, jeśli w ogóle zaszczycali go spojrzeniem, nie wykazywali najmniejszej chęci do prowadzenia filozoficznych dysput z wariatami, weteranami bądź pijakami. Szczególnie zaś z facetem, który zdawał się być wszytkimi trzema naraz.

Wyszedłem z hotelu i pojechałem taksówką do Central Parku. Kręciłem się tam trochę i korzystając z mapki, jaką zamieścili w "Timesie", usiłowałem zlokalizować miejsce zabójstwa. Kiedy nabrałem przekonania, że je znalazłem, zrobiłem kilka zdjęć. Sam nie wiem po co, bo nie znalazłem tam nic ciekawego. Zawsze lubię zrobić kilka takich niezobowiązujących zdjęć na nowej rolce filmu, na dobry początek. W Wietnamie każdego dnia zaraz po obudzeniu sięgałem po aparat i robiłem zdjęcie drugiego końca mojego ciała: palców, stóp, kolan. Na dobry początek.

W tamtych czasach musiałem być niezłym świrem. Porzuciłem dom w wieku siedemnastu lat, żeby podróżować po Europie z pentaxem w plecaku, nieprzerwanie kierując się na wschód. Powodowało mną mocne postanowienie, by zostać fotoreporterem wojennym. Chciałem zrobić jakieś zdjęcia z wojny arabsko-izraelskiej w sześćdziesiątym siódmym. Dotarcie na miejsce zajęło mi cały tydzień. Tymczasem konflikt zakończył się po sześciu dniach. Otrząsnąłem się z rozczarowania i ruszyłem dalej, do Adenu, gdzie nasilały się akcje terrorystów protestujących przeciwko wycofaniu się Brytyjczyków z kolonii. Zostałem zatrzymany przez władze. Chcieli mnie odesłać do domu, do rodziców. Ruszyłem wtedy na wschód, do Wietnamu, ale po drodze były Indie, gdzie na chwilę straciłem z oczu swój cel w oparach opium i przy dźwiękach sitaru. W końcu dotarłem do Wietnamu akurat na bitwę pod Khe Sanh.

Moje pierwsze fotografie były beznadziejne i nikt nie chciał ich kupić (dopiero później, kiedy wydałem pierwszy album, nabrały pewnej wartości), ale moja pasja była zbyt wielka, żebym mógł się tym załamać. Robiłem coraz więcej zdjęć i stawałem się coraz lepszy, ucząc się od ówczesnych amerykańskich tuzów obiektywu. Kiedy wieści o mordzie w My Lai pojawiły się

na pierwszych stronach wszystkich gazet, byłem już całkiem niezłym fotoreporterem, a moje zdjęcia także zaczynały nabierać klasy.

W tym czasie zobaczyłem wytatuowanego człowieka. Przemierzałem właśnie obszary wiejskie, towarzysząc jednemu z patroli rozpoznawczych, kiedy jakiś nerwowy żołnierz w szpicy otworzył ogień ze swojego M-16, siekąc kulami cienie.

- Tu się coś ruszało - wyjaśniał potem. - Widziałem, jak zginają się tamte paprocie.

Przeszukaliśmy teren i znaleźliśmy ślady krwi wiodące do jaskini przy wodospadzie. Patrol miał na wyposażeniu tylko dwa granaty odłamkowe, które żołnierze wrzucili do środka.

Wciąż jednak nikt nie kwapił się, by wejść do pieczary. Trudno się było im dziwić. Grota wyglądała jak ogromna skalna paszcza gotowa połknąć nieostrożnych frajerów. Ryk srebrzystej wody przetaczającej się wśród wyszczerzonych, ostrych kamieni raczej nie dodawał odwagi. Cieszyłem się, że byłem tam tylko po to, by robić zdjęcia. Żołnierze poprosili przez radio o pomoc i po jakimś czasie wojskowy helikopter zrzucił im miotacz ognia, którym starannie wypalili wnętrze jaskini. Następnie jeden z patrołu uzbrojony w czterdziestkę wszedł do środka. Wyszedł tyłem, wlokąc ze sobą zwłoki nagiego mężczyzny. Większa część skóry trupa była zwęglona, ocalało jedynie lewe ramię i część klatki piersiowej. Najwyraźniej musiał leżeć twarzą do ziemi, z ramieniem wsuniętym pod tułów, kiedy płomienie omiały ściany jego kryjóWKi. Kawałki ocalałej skóry były całe pokryte tatuażami, które wywoływały dziwne optyczne złudzenie. Taki sam efekt powstaje, kiedy długo przypatrujesz się z bliska gęsto wydrukowanym, czarno-białym zygzakom.

Kiedy tatuaże zaczęły coraz gęściej pokrywać ciało, począł zastanawiać się, czy nie zawierają one zaszyfrowanej wiadomości. Gapił się na nie w lustrze, próbując odkryć jakieś prawidłowości, które naprowadziłyby go na trop ukrytego języka, aż do chwili, kiedy wszystko zaczęło mu się rozmywać przed oczami. Próbował także wykonywać rozmaite ruchy, energicznym krokiem przechadzając się przed lustrem, aby zobaczyć, czy tajemnica zapisana w wytatuowanych symbolach nie okaże się bardziej czytelna kiedy muskuły jego mocnego, szczupłego ciała zaczną falować przy naprężaniu kończyn i torsu. Ale sekret pozostał równie nieprzenikniony jak przedtem.

Bezsennie noce spędzał na włóczęgach - już nie po barach, ale po chińskiej dzielnicy, gdzie wszystkich wypytywał o kogoś, kto umiałby robić tatuaże. W końcu pewien taksówkarz zawiózł go do jakiejś zapadłej sutereny, w której podobno mieścił się nielegalny salon tatuażu. Kiedy mu otworzono, od razu zrozumiał, że znalazł właściwe miejsce.

- Przychodzi po jeszcze jeden? - zapytał właściciel.

Wyjaśnił, że nie przypomina sobie żadnej ze swych wcześniejszych wizyt, że za każdym razem musiał być potwornie pijany, ponieważ nie zdawał sobie sprawy z tego, co robi.

Twarz rysownika stężała i mężczyzna pokręcił głową.

- Musi zdawać sprawę - powiedział z silnym akcentem świeżo upieczonego imigranta.

Weteran poczuł, jak jego ciało przeszywa chłodny dreszcz na myśl, że być może rysownik wcale nie jest Chińczykiem tylko Wietnamczykiem? A więc śledzili go cały czas, by wreszcie odnaleźć go za oceanem? Prześladowali go w jego własnym kraju?

Energicznie potrząsnął głową, aby opędzić się od paranoi.

- Posłuchaj, stary. Nie chcę już więcej żadnych tatuaży. Ani jednego więcej, kapujesz?

Niezależnie czy przyjdę tu pijany czy trzeźwy, ty odeślij mnie z kwitkiem - nie rób mi więcej żadnych tatuaży. W porządku?

- Nie w porządku - tamten znów pokręcił głową. - Ty nie chce przyjąć tutaj. Ty chce iść w inne miejsce. Ja robi dobry tatuaż. Ty przyjdzie tutaj, ja robi dobry tatuaż...

Na groźbę, że policja zostanie powiadomiona o nielegalnym salonie tatuażu, rysownik posłał mu tylko wściekły, azjatycki uśmieszek.

- Ty nie pójdzie do policjant.

Tej samej nocy przybył mu kolejny tatuaż. Kiedy odkrył go z samego rana, wrócił do salonu, aby zrobić z tatuazysty mokrą plamę, na co tamten odpowiedział mu z podobną, nieklamana furia.

- Ty ma muchy w głowa. Ty wariat. Po co przychodzi tu w noc i mówi "Zrób mi tatuaż", a potem przychodzi rano cały wściekły? Ja robi, co ty mówi. Jak nie chce tatuaż, to nie przychodzi tutaj, ty głupi wariat.

Krewni i przyjaciele rysownika zdawali się wypełzać z każdej szczeliny drewnianej boazerii, jaką były wyłożone ściany piwniczki, stając w cieniu za plecami właściciela z groźnie założonymi rękami. Wiedział, że jeśli będzie się awanturował, za chwilę wszyscy rzuca się na niego, a być może w ruch pójda także noże.

- Na pewno mnie hipnotyzujecie, zasrane gnojki - powiedział. - Albo stosujecie jakieś inne sztuczki. Dlaczego, na miłość boską, wciąż tutaj wracam? Nic z tego nie rozumiem. Co się, do diabła, ze mną dzieje?

Tatuazysta wzruszył ramionami.

- Skąd bierzesz takie wzory? - spytał go weteran. - Nigdy w życiu czegoś takiego nie widziałem.

Rysownik pogrzebał chwilę w szufladzie, którą miał na wysokości łokcia i wyciągnął z niej zwitek papierowych kartek. Na każdej z nich widniał staranny rysunek. Wszystkie znaki były identyczne z tymi, które miał wytatuowane na ciele. Wpatrywał się w nie nic nie rozumiejąc, dopóki Azjata nie pośpieszył z wyjaśnieniem:

- Ty rysuje. Ty ich rysuje. Za każdy raz ty przychodzi tutaj, bierze papier i rysuje obrazek.

- Nie wierzę ci - przerwał zdjęty trwogą.

- Mam to w dupa - padła odpowiedź.

Wrócił do domu i wbił wzrok w ścianę. Stopniowo przypominał sobie tamto wydarzenie, wywłócił je z najdalszych zakątków pamięci, gdzie próbował je pogrzebać wraz z wszystkimi innymi koszmarami z dżungli. Żołnierz Vietcongu spłonął w jaskini. Trup miał ramię całe pokryte tatuażami, takimi samymi jak te, które obecnie zdobiły jego ciało. Małeńkie zawijasy i poskręcane kształty, które wyglądały jak ornamenty skopiowane z kolumny w jakiejś świątyni węża. Phil był razem z nim w tym patrolu. Rozmawiali ze sobą o tamtych dziwnych znakach. Phil domyślał się, że są to jakieś obrzędowe symbole, równie stare jak sam Wietnam.

- Kiedyś nazywano go Krainą Wytatuowanych Ludzi - mówił.

- Co tak nazywano?

- Ten kraj - Wietnam. Trzy tysiące lat temu ziemie te znane były jako Van Tang, Kraina Wytatuowanych Ludzi.

Phil był jego dowódcą. Jego najlepszym przyjacielem. Razem studiowali i obaj odrzucili zaferowane im stopnie oficerskie, żeby ich tylko nie rozdzielono. Razem spędzili rok w piekle i razem wrócili do domu. Phil pozwolił mu zamieszkać w swoim mieszkaniu, zanim nie znajdzie czegoś dla siebie. Tyle że w trzy tygodnie po powrocie Phil został zamordowany, zakłuty nożem na śmierć, w metrze, przez nieznanego sprawcę lub sprawców. Zabrano mu zegarek, sygnety i trzy dolary z portfela. Spędził cały rok w Wietnamie, gdzie w powietrzu latało mnóstwo wszelkiego gówna, które co chwila, gdzie tylko spojrzeć, zwałało z nóg jakiegoś amerykańskiego żołnierza, a Philowi udało się wyjść z tego bez szwanku. Tylko po to, żeby w Stanach zarznął go jak tuczny wieprzka jakiś gnojek, któremu nie wystarczała wojna w Azji, musiał rozpocząć własną wojnę w Nowym Jorku.

Obszedłem cały park, trzymając się jak najdalej od drzew (zawsze trzymam się jak najdalej od drzew), po czym wzięłem taksówkę na Brooklyn, pokazując kierowcy adres wypisany na kopercie, w której otrzymałem list. Wszedłem po tylnych schodach jakiegoś zakazanego budynku i zapukałem do drzwi. Mężczyzna wpuścił mnie do środka.

- Pamięta mnie pan? - zapytał.

- Pamiętam czas, miejsce i wydarzenie - odparłem. - Jeśli twierdzi pan, że pan tam był, wierzę panu.

- Byłem jednym z członków tego patrolu. Razem z Philem, tyle że on już nie żyje.

Prawdopodobnie wszyscy z tamtego patrolu zginęli, poza panem i mną.

Przyjrzałem mu się dokładnie. Miał na sobie wysokie buty, wojskową kurtkę i wielki, sztauerski beret, który przykrywał mu nawet kark. Odsłoniętą miał jedynie twarz i dłonie. Ale nawet tam tatuaże pokrywały każdy centymetr kwadratowy skóry. Kołnierz kurtki miał postawiony i zapięty na guziki. Wełniany beret miał wciśnięty na głowę tak mocno, że całkowicie zasłaniał uszy. Na policzkach, na nosie, wokół ust i oczu roilo się od tajemniczych znaków: jakieś poskręcane płatki, wiry, spirale. Pojedyncze linie wydawały się obrysowywać naturalne kontury jego twarzy, ale przy dokładniejszym przyjrzeniu się było widać, iż w niektórych miejscach zakłócają normalne rysy, rozbijając je na nieokreślone kształty i cienie, przywodzące na myśl unerwienie liści, rosnące gęsto żdźbła trawy, rysunek kory drzew. Jego twarz sprawiała wrażenie sadzawki, w której odbija się dzieńne światło i cienie listowia porastającego wiszące nad lustrem wody gałęzie.

- Przypomina mi pan pewien obraz - powiedziałem, aby przerwać ciszę, która z wolna robiła się dość niezręczna. - Impresję pewnego artysty na temat Queequega - tego z "Moby Dicka". Te wytatuowane policzki... - Wyglądało na to, że moja nieśmiała próba rozładowania napiętej atmosfery okazała się druzgocącą porażką. Nie zauważyłem żadnej zmiany wyrazu wpatrzonych we mnie oczu. Oczu, które wydawały się jedynym rzeczywistym elementem tej postaci, jedynym punktem zaczepienia, gdyż cała reszta jego twarzy nieustannie załamywała się i rozmywała, zanikała i zmieniała kształty.

- Jestem pod tym całkiem łysy - powiedział, mając na myśli swoje bezkształtne nakrycie. - Łysy i wytatuowany. Nie golę się. Wyrwam włosy wraz z cebulkami, jak kiedyś Indianie. To bolesne, ale dzięki takiej metodzie nie muszę tego robić zbyt często. - Przerwał, a po chwili dodał: - Opowiedziałem panu o tym wszystkim w moim liście.

- Pisał pan, że gromadzi pan tatuaże, podobnie jak ten człowiek, którego zwłoki widzieliśmy w Wietnamie - nie wiedziałem, co miał na myśli pisząc, że "gromadzi" tatuaże.

- Aha. Przywiózł pan to zdjęcie?

Kiwnąłem głową i wyjąłem kopertę z kieszeni. Wyszarpnął mi ją z dłoni i wyciągnął fotografię. Było to zdjęcie spalonego Wietnamczyka przy jaskini - jedno z kilku ujęć.

- Tak, to on - odezwał się wyraźnie usatysfakcjonowany. - Niech pan patrzy - podwinął rękaw, aby pokazać mi ramię upstrzone symbolami wykłutymi kolorowym atramentem. Znaczkę zawirowały mi przed oczami. - Niech pan spojrzy, wszystko mam identycznie jak on. Uwierzy pan? Miałem to wszystko zarejestrowane gdzieś tutaj - poklepał się po głowie. - Wszystko wyrysowałem dokładnie, nawet o tym nie myśląc.

Rzeczywiście skopiował symbole z zadziwiającą precyzją. Musiały się na stałe wdrukować w jego podświadomość. Jakiś tajemniczy impuls skłonił go do przeniesienia wszystkich zarejestrowanych w umyśle znaków na papier, a następnie na ciało. Można by powiedzieć, że został wytatuowany od wewnątrz bardzo dawno temu, a dopiero teraz tatuaże zdołały wydostać się z jego wnętrza na powierzchnię skóry.

- A skąd pan wziął tę całą resztę? - spytałem.

- Że co?

- Przecież widział pan tylko ramię i część klatki piersiowej. Czym pokrył pan resztę ciała?

- To wzór - odpowiedział, rzucając mi spojrzenie znad fotografii. - Powtarzający się wzór.

- Ach tak!

- Jest pan gotów?

- Tak, możemy jechać - odparłem. Wszystko wyłożył w swoim liście: chciał, abym sfotografował go na tle trawy, liści lub skał. W jakimś naturalnym otoczeniu.

Pojechaliśmy taksówką do Central Parku. Po drodze, nie zważając na ciekawskiego szofera, który niemal przez całą drogę nie odrywał wzroku od naszego odbicia w lusterku, rozmawialiśmy o jego odkryciu.

- Połapałem się w tym wszystkim pewnej nocy - powiedział mój współpasażer - prawie nad ranem. Tamten narwany chłopak na szpicy wychował się w lasach Luizjany i miał sokoli wzrok. Zdarzało mu się mierzyć do zagęszczenia mgły, do paproci kołyszących się na wietrze, do spadającego liścia, ale nigdy nie strzelał na próżno. Kiedy ten gość naciskał na spust, wiadomo było, że za chwilę trzeba będzie liczyć ciała. Ale do czego strzelał tamtego dnia? - po sto razy zadawałem sobie to pytanie. Pamiętam, że wtedy też mu je zadaliśmy, a on odpowiedział nam: "Zapach... wyczułem zapach tego cienia". W swoich rodzinnych stronach tamten chłopak często polował w półmroku panującym w lesie, który wyrósł na bagnach. Nie było od niego lepszego na szpicy. "Widziałeś coś?", pytaliśmy go tamtego dnia, a on tylko kręcił głową. Wtedy pomyślałem sobie, że jeśli ten nieprawdopodobny bystrzak nie zauważył żółtka, to znaczy że Wietnamiec musiał chyba siedzieć w środku drzewa. Potem dopiero zrozumiałem, że...

Dotarliśmy do parku i odesłaliśmy taksówkarza. Zbliżał się wieczór - czas, kiedy większość urzędników opuszcza biurowce i udaje się do domu. W parku było jeszcze trochę ludzi, ale mojemu towarzyszowi udało się znaleźć małą polankę pośród drzew, gdzie mogliśmy czuć się całkiem sami. Kiedy przystanęliśmy, z przerażeniem skonstatowałem, że jest to dokładnie to samo miejsce, gdzie w tajemniczy sposób został zamordowany niedoszły gwałcieciel. Chciałem skończyć wszystko jak najszybciej, mieć to wreszcie z głowy i wrócić do hotelu. Zaczął się rozbierać. Zdejmując ubranie, nie przerywał mówienia, ja zaś zająłem się robieniem zdjęć.

- To był perfekcyjny kamuflaż - mówił. - Ci starożytni Wietnamczycy wszystko dokładnie opracowali. Musiało im to zająć mnóstwo czasu - naprawdę mnóstwo czasu - zanim udało im się osiągnąć zadowalający efekt. Oszukać wzrok. Tak, na tym to właśnie polega. Na oszukaniu wzroku. Patrzysz na coś, ale nie widzisz. Ten żołnierz Vietcongu, którego spaliliśmy - on musiał zobaczyć to w jakiejś starej księdze, a może na jakimś rysunku w jaskini, albo na ścianie świątyni.

- Może to wcale nie był żołnierz Vietcongu? - powiedziałem, szybko pstrykając kolejne fotki.
- Możliwe, całkiem możliwe. W każdym razie znał sekret, tajemnicę doskonałego kamuflażu. W dawnych czasach władcy tamtejszych starożytnych królestw zapewne wykorzystywali takich ludzi do brudnej roboty. A teraz ja, teraz ja poznałem tajemnicę... Myślę, że to działa tylko wtedy, kiedy całe ciało zostanie pokryte tatuażami. Część ciała, na przykład ręka czy noga, może dać pewien efekt, ale nie zapewni pełnego maskowania, nie zapewni takiego idealnego zlania się z otoczeniem, jak w przypadku całkowicie wytatuowanego człowieka, który staje się niewidoczny gołym okiem. Pamięta pan niektóre z tamtych węży w Wietnamie? Nigdy nie było ich widać dopóki nie nadepnęło się na jednego z nich, nawet jeśli patrzyło się prosto na nie, prawda? Widzi pan, tatuaże są jeszcze skuteczniejsze, ponieważ pozwalają również na maskowanie ruchu. Rysownicy, którzy to wymyślili, musieli udoskonalać ten wzór przez stulecia, a może nawet przez tysiąc lat! Zapewne prowadzili studia nad ubarwieniem leśnych stworzeń, stworzyli całą naukę na temat światła i cienia, badającą delikatną równowagę pomiędzy znakami a dzielącymi je odstępami... do diabła, to musieli być geniusze. Czy jest pan sobie w stanie ich wyobrazić? Tych ludzi epoki kamienia łupanego destylujących barwniki z soków kwiatów i liści, obłupujących brzegi rzek w poszukiwaniu gliniek o różnych kolorach, testujących kolejne substancje, aby w końcu pewnego dnia - bingo! - spod ich rąk wyszedł łowca doskonały.

W chwili kiedy zakończył swoją przemowę, był już jedynie bezcielesnym głosem, rozbrzmiewającym pośród drzew, gdzieś przede mną. Jego ubrania leżały zmięte na ziemi. Robiłem zdjęcia, na których nie było widać nic prócz pni, konarów i liści. Poczulem jak

cierpnie mi skóra, a kiedy gdzieś po mojej lewej stronie rozległ się delikatny trzask łamanej gałązki, ledwo się powstrzymałem, by nie wrzasnąć na cały głos. Odskokczyłem w tył na jakieś pół metra, mając wrażenie, że rozum miesza mi się ze strachu.

- Czy wciąż pan tu jest? - Sam nie wiem dlaczego pytanie to wypowiedziałem zduszonym szeptem.

Nie padła żadna odpowiedź. Próbowałem obserwować wydłużające się cienie, by dostrzec pośród nich jakikolwiek ślad ruchu. Nie był przecież w stanie zmienić praw rządzących światłem i ciemnością, co do tego nie miałem najmniejszych wątpliwości. Znieruchomiały czekałem na jakiś ulotny znak, przemknięcie ciemnego kształtu mężczyzny na opadłych liściach, ale niczego nie mogłem być pewny. Po chwili kątem oka dostrzegłem jakieś poruszenie, znów podskoczyłem, ale wyglądało to na zwykły podmuch wiatru pochylający źdźbła trawy. Moje serce waliło jak szalone, pompując krew z niesamowitą szybkością. Wiedziałem, że jeśli nad sobą nie zapanuję, za chwilę zacznę widzieć rzeczy, których w rzeczywistości nie ma.

Przypomniałem sobie końcówkę artykułu o samozwańczym stróžu porządku, który zabił gwałciela w tym parku, być może dokładnie w tym miejscu. Żaden ze świadków nie widział napastnika, nawet uratowana przezeń kobieta. Wszyscy raczej odczuli jego obecność, niż doświadczyli jej wzrokiem. To był jakiś duch, fantom, widoczny jedynie w postaci ulotnego cienia znikającego w mrokach wieczoru.

Nagle przyszło mi do głowy, że przypuszczenia tego faceta są słuszne, że być może spośród ludzi, którzy widzieli zwęglone ciało wytatuowanego człowieka zabitego w jaskini pośród wietnamskiego buszu, tylko my dwaj zostaliśmy przy życiu. Nie ulegało wątpliwości, że jako jedyni ocalały, który o wszystkim wiedział, stanowiłem dla niego zagrożenie. W tej samej chwili jakiś delikatny ciepły podmuch owionął mój policzek. Poczulem czyjś nieświeży oddech. Obróciłem się i zacząłem biec co sił w nogach, zdzierając gardło opętańczym wrzaskiem:

- Zostaw mnie! Zostaw mnie!!! Zostaw mnie...

Kiedy ponownie dołączył do mnie na skraju parku, zakutany w swoje ubranie, zdążyłem już przyjść do siebie.

- To był głupi pomysł - stwierdził, ale na jego twarzy dostrzegłem krzywy uśmiešek, jakby po raz pierwszy dzięki swemu kamuflażowi przeżył coś tak zabawnego.

- Na swoje usprawiedliwienie powiem - odparłem, czując się strasznie głupio - iż niezależnie od tego, czy dzieje się to z przyczyn naukowo wytłumaczalnych, czy nadprzyrodzonych, nie jestem przyzwyczajony do tego, by człowiek nagle zniknął mi z oczu.

Mruknął coś w odpowiedzi, a następnie sięgnął do kieszeni wojskowej kurtki, skąd wyjął notes. Wręczył mi go bez słowa.

- Co to takiego? - spytałem.

Jego oczy rzuciły mi ponure, zimne spojrzenie.

- To mój dziennik - znajdzie pan tu wszystko, co będzie panu potrzebne do napisania artykułu.

- A... artykułu?

- Tak. Ale niech się pan z nim wstrzyma przez jakiś miesiąc. Wtedy będzie to znacznie bardziej sensacyjna historia.

- Rozumiem - powiedziałem.

- Nic pan nie rozumie - uciął krótko. - Przynajmniej na razie.

Wyszliśmy z parku i wtopiliśmy się w rzekę ludzi toczącą się korytem chodnika. Sznur samochodów przesuwiał się wolno obok nas, a zewsząd dobiegały hałasy wielkiego miasta. Ludzie zaczęli nas potrącać - tarasowaliśmy im drogę. Zanim się rozstaliśmy, obdarzył mnie silnym uściskiem dłoni.

- Niech pan posłucha - odezwał się. - Co pan myśli o nowym pomysle prezydenta - o tych doradcach wojskowych dla Tajlandii?

- A co pan o tym myśli?

Spojrzał w górę, gdzie szczyty budynków walczyły o światło i przestrzeń na tle nieba o przywiedłych kolorach.

- Mam osiemnastoletniego syna na uniwerku - powiedział.

Czując się nieco pewniej pośród budynków, otoczony tłumem ludzi, wyrzuciłem z siebie oskarżenie:

- A więc zabije pan prezydenta, tak jak zrobił pan to z tym gwałcicielem.

Jego odpowiedź wprowadziła mnie w zdumienie.

- Zdecydowaliśmy, że prawdopodobnie nie będzie takiej potrzeby - oznajmił. Następnie odwrócił się i odszedł śpiesznie z dłońmi wbitymi głęboko w kieszenie kurtki. Śledziłem wzrokiem dziergany beret, dopóki nie zniknął mi z oczu. Potem wróciłem taksówką do hotelu.

Kiedy z powrotem znalazłem się w swoim pokoju, wyjąłem notes, który otrzymałem od weterana. Nie dowiedziałem się z niego więcej niż już wiedziałem. Nie dostarczył mi dodatkowych informacji, które wyjaśniałyby tajemnicze użycie liczby mnogiej w ostatnich słowach, jakie autor dzienniczka rzucił mi na pożegnanie. "Zdecydowaliśmy..." - cóż to, u diabła, za "my"?

Tej nocy wyszedłem na miasto, żeby się urządzić.

Następnego ranka wynajęłem ciemnię i wywołałem zdjęcia z parku. Potem przed długie godziny przyglądałem się odbitkom pod różnymi rodzajami światła, ale oczywiście nie byłem w stanie dostrzec nic prócz trawy, drzew i cieni. Mnóstwa cieni. On musiał kryć się gdzieś pośród tych cieni, ale nie mogłem go dojrzeć i wątpię, by komukolwiek to się udało.

Przypuszczam, że jego wolą było, abym opublikował te zdjęcia razem z artykułem, jaki mu obiecałem, ale w jaki sposób dowieść, że zrobiło się zdjęcia niewidzialnego człowieka? To wszystko zakrawało na absurd. Doszedłem do wniosku, że był to zwykły przejaw próżności z jego strony. Dopóki miał na sobie chociaż część ubrania, nie było problemu z zauważeniem go, ale kiedy zdjął wszystko, natychmiast zniknął. To tak jak z tygrysem, kiedy założyć mu czerwoną opaskę na szyję i ustawić go w jego naturalnym otoczeniu. Kawałek płótna pomaga zlokalizować zwierzę i wtedy można dokładnie wyodrębnić wzrokiem jego kształt, nawet na tle cieni rzucanych przez liście drzew. Dopiero kiedy nie wiadomo, w które dokładnie miejsce należy spojrzeć i jakiej pozycji się spodziewać (wyprostowanej, leżącej, skulonej, przyczajonej), kamuflaż spełnia swą rolę magicznej ochrony.

Ale w tym przypadku nie miałem do czynienia z kamuflażem będącym produktem długotrwałego procesu prób i błędów przeprowadzanego przez ewoluującą naturę - tak jak w przypadku ochronnych barw tygrysa czy - jeszcze lepiej - bekasa. Ten kamuflaż był owocem nauki lub sztuki, jak kto woli, doprowadzonej do perfekcji przez człowieka. Pręgi tygrysa tak się miały do tatuaży weterana jak skrzydła mewy do silników rakietowych.

Spakowałem się z zamiarem jak najszybszego powrotu do Kalifornii. A może na jakiś czas wróciłbym na Wyspy? Chciałem znaleźć się gdziekolwiek, byle dalej od Waszyngtonu. Pomyślałem o zawiadomieniu policji, lecz natychmiast porzuciłem ten zamiar. Policja mogła mi uwierzyć albo i nie, ale na pewno rewelacje przedostałyby się do mediów, a one nie przejmowały się takimi drobnymi szczegółami jak to, czy jakaś pogłoska jest prawdziwa. One przecież uwielbiały takie historie: wytatuowani mężczyźni, niewidzialni zabójcy, samozwańczy pogromcy bandytów, groźby pod adresem prezydenta. Odkładając nawet na bok obawy o moje własne życie, gdyby sprawa wyszła na światło dzienne, istniała poważna możliwość, że cała historia zostanie odpowiednio rozdmuchana: Wietnamscy agenci w Nowym Jorku. Weterani zabijający w hipnotycznym transie. Już widziałem wielkie nagłówki: KANDYDAT POPIERANY PRZEZ MANDŻURIĘ NADAL ŻYJE. Prezydent zdobyłby

dowody, których szukał, a żaden obywatel o azjatyckich rysach nie mógłby spokojnie pojawić się na ulicy

Miałem zamiar zapomnieć o tym, co zobaczyłem, lub raczej o tym, czego nie zobaczyłem i nie dotrzymać obietnicy ogłoszenia całej historii drukiem. Argumenty, jakie miałem na swoje usprawiedliwienie, prezentowały się dość mizernie: "Jestem tylko fotoreporterem. Rejestruję wydarzenia. Nie biorę w nich aktywnego udziału. Nie opowiadam się po żadnej ze stron. Jestem jak ksiądz albo prawnik, albo lekarz. Jestem zobowiązany do zachowania tajemnicy swojego klienta".

Głupio zrobiłem, że tu przyjechałem. On zaś głupio postąpił, że mnie zaprosił. Przypuszczam, że więź zadzierzgnięta przez wietnamskie doświadczenia wciąż była mocna. W przeciwnym razie ani on, ani ja nie zdecydowalibyśmy się na taki krok. Jego poczucie rzeczywistości musiało przejść poważne zmiany przez ostatnie kilka miesięcy i najprawdopodobniej potrzebował umocnienia ze strony kogoś, kto był tam razem z nim, uczestniczył w tym samym wydarzeniu. Moje własne poczucie rzeczywistości właśnie chwiało się w posadach. Coś zaczynało się przesyphywać przez gęste sito zdrowego rozsądku. Była to myśl, że być może ten weteran nie jest całkiem sam. W Wietnamie toczyła się przecież długa wojna, obfitująca w wiele incydentów, o których nikt później nie usłyszał ani słowa. Może nasze doświadczenie nie było odosobnione? W każdym razie nic nie mogło go powstrzymać przed wyjawieniem swojego sekretu. "Zdecydowaliśmy, że prawdopodobnie nie będzie takiej potrzeby..."

Nie mam pojęcia, jak wielu ich jest, bezszelestnie poruszających się przez lasy i pola, przez wzgórza i doliny, niezauważonych przez nikogo. Może jest to tylko jeden człowiek, a może są ich całe tysiące. Albo i więcej. Być może jest ich tak wielu, że zajęli już wszystkie tereny poza miastami, a także parki, tak więc wszelkie otwarte przestrzenie stały się oddzielnym światem, pozostającym całkowicie poza naszą kontrolą. Nie ma żadnego sposobu, aby poznać prawdę. W ekstremalnym przypadku mogłoby się okazać, że nie ma sensu mówienie, iż w kraju roi się od wytatuowanych ludzi, ale raczej należałoby całą rzecz odwrócić i stwierdzić, że to właśnie my mieszkamy w krainie wytatuowanych ludzi.

Wczoraj coś się wydarzyło, coś nagłego i niezwykłego. Od kilku tygodni nie zaglądam już do gazet, nie słucham radia, nie oglądam telewizji. Od dnia, kiedy wyjechałem z Nowego Jorku. Wiem, że coś się wydarzyło, ponieważ to wisi w powietrzu, jak bzyczenie miliona much. Wyczuwam jakiś pośpiech w krokach, które dobiegają do mnie przez zamknięte drzwi i okna. Ludzie na ulicach wciąż gdzieś gonią, szybciej niż zazwyczaj, tak jakby wszyscy czuli, że powinni znajdować się w zupełnie innym miejscu. Do moich uszu dobiegają jakieś stłumione okrzyki, okrzyki niewyraźne, ledwie słyszalne. Nie planuję bliższego zbadania tego zjawiska.

Przełożył Rafał Wilkoński

GARY KILWORTH

Należy do grona najbardziej popularnych i lubianych brytyjskich twórców SF i fantasy.

Urodził się w Yorku w 1941 r., dzieciństwo spędził w Arabii

Saudyjskiej*****

*****rcy

trylogii o wydrach. Na naszych łamach zamieściliśmy opowiadanie "Biały szum" ("NF" 9/90).

(anak)